NOWE
ROZMAITOŚCI

Serja I, — Listopad 1934 — Zeszyt IV.

TREŚĆ ZESZYTU:

A D R E S:

WYDAWNICTWO „NOWYCH ROZMAITOŚCI"
KRAKÓW, UL. SIEMIRADZKIEGO 27.

»NOWE ROZMAITOŚCI«

wychodzić będą w r. 1935 co sześć tygodni z dodatkiem:

„NOWA KRONIKA“

PRZEDPŁATA całoroczna (na oba te pisma razem) wynosi **4 zł.**
półroczna **2 zł.**
Do Ameryki na rok **2 dol.**

W Y D A W C A i R E D A K T O R:
KS. MARCELI DZIURZYŃSKI.

A D R E S:
Wydawnictwo „Nowych Rozmaitości“
Kraków, ul. Siemiradzkiego 27.

N a j d o g o d n i e j p r z e s y ł a s i ę p r z e d p ł a t ę
czekiem P. K. O. 406.115
na adres wydawcy:
Ks. Marceli Dziurzyński
Kraków, ul. Siemiradzkiego 27.

U w a g a: Serję I-ą „Nowych Rozmaitości“ (z roku 1934) nabyć mogą nowi Czytelnicy w naszej redakcji po uiszczeniu 2 zł. (z przesyłką).

OD WYDAWNICTWA.

Tym czwartym **zwiększonym** zeszytem **zamykamy pierwszą serję** „Nowych Rozmaitości".

Serja 2-ga rozpocznie się zeszytem pierwszym, który wyjdzie, da Bóg doczekać, **w pierwszych dniach stycznia 1935 r**. — Chcieliśmy dać 5 zeszytów w pierwszej serji, ale zbyt mała liczba czytelników nie opłaciła koztów nawet trzech zeszytów.

Ponadto niektórzy Czytelnicy nie uiścili dotąd przedpłaty na to 2-gie półrocze, mimo, że pismo zatrzymywali.

Dla tych dwóch przyczyn mieliśmy zamiar zaprzestania dalszego wydawania „Nowych Rozmaitości", z drugiej jednak strony nie chcemy zejść z pola pracy, choć szczupłej, ale dziś potrzebnej.

Więc wydawać pragniemy od stycznia 1935 r. „Nowe Rozmaitości" — co **sześć** tygodni, w objętości **zwiększonej** — przez **dodatek kronikarski**, jeżeli się zgłosi większa liczba Czytelników.

Przedpłata całoroczna wynosi: 4 zł. — półroczna: 2 zł.

O rychłe (już w tym roku) nadsyłanie tej przedpłaty, bardzo prosimy.

Wydawnictwo.

Zażydzanie szkół w Polsce.

Z różnych stron kraju, głównie zaś z województw centralnych (czyli z b. Kongresówki) nadchodzą bardzo bolesne dla katolików wieści o zażydzaniu szkół polskich.

Zażydzanie to odbywa się nietylko przez łączenie i mieszanie dzieci katolickich z żydowskiemi, ale co gorsze, przez oddawanie kierownictwa szkół i wychowania katolickiej dziatwy nauczycielkom i nauczycielom — żydom.

I tak:

W Kolnie połączono dzieci katolickie z żydowskiemi, i aż w trzech klasach mianowano żydówki nauczycielki wychowawczyniami.

W Augustowie przestały dzieci chodzić do szkoły od połowy września b. r. z powodu mianowania dla szkoły nauczycieli żydów.

Strajk ten trwał prawie do połowy października. Starostwo ukarało za strajk dzieci rodziców grzywnami, ale bez skutku. Wreszcie Kuratorjum wileńskie zarządziło, aby w szkołach w Augustowie przydzielono dzieciom katolickim tylko katolickich nauczycieli — co wywołało wielką radość u rodziców i u dzieci.

W Rajgrodzie powołano także nauczycielkę-żydówkę i oddano jej wychowawstwo.

W Łapach przeniesiono nauczycielkę - katoliczkę na Kresy, a jej miejsce objęła żydówka.

W Jedwabnem pomieszano dzieci katolickie z żydowskiemi i do szkoły polskiej sprowadzono nauczycielkę żydówkę.

To samo stało się w Szczuczynie białostockim, w Wącewie, w Grajewie, w Siedlcach, i w innych kilku miejscowościach.

W szkole imienia Długosza w Lublinie, niektóre klasy, do których uczęszczają dzieci katolickie, a prowadzone są przez żydów-nauczycieli, musiały te dzieci święcić żydowski „Sądny dzień“, a szkoły były w tym dniu nieczynne.

Wszędzie panuje rozgoryczenie, rodzice odbywają zebrania, wysyłają protesty do ministerstwa wyznań i oświaty, ale czy to co pomoże?

„Katolicka Ajencja Prasowa“ donosząc o powyższych wypadkach, wyraźnie zaznacza, że źródła zażydzenia szkół należy niewątpliwie szukać w tendencjach antykatolickich i bezbożniczych“.

Ta sama „Ajencja Prasowa“ zwraca uwagę na ustawę szkolną wydaną w roku 1932. Powiedziano w niej (w paragrafie 67), że między szkołą a domem rodzicielskim powinna istnieć łączność, że szkoła ma dopełniać wychowanie domowe i uświadamiać rodziców o pracy i dążeniach szkoły, a każdy nauczyciel ma być wychowawcą dzieci.

A co wykazuje praktyka? Oto zewsząd podnoszą się skargi na władze szkolne, że powierzają nauczanie i wychowanie dzieci katolickich nauczycielom żydom i że protesty rodziców odrzucają, uważając, że dziecko wchodząc do szkoły podlega tylko władzy szkolnej. Rodzicom zabrania się w ten sposób współpracować ze szkołą.

Całe katolickie społeczeństwo z księżmi biskupami solidaryzuje się w tej sprawie z rodzicami katolickiemi i wespół z nimi domaga się odwołania nauczycieli żydowskich ze szkół przeznaczonych dla dzieci katolickich.

„Apelujemy do rządu — tak kończy „Katolicka Ajencja Prasowa“ swój komunikat — aby zmusił podległe sobie władze szkolne do respektowania władz rodziców“ (Gaz. W. Nr. 258).

Apel ten, jak widać z zarządzenia Kuratorjum wileńskiego, nie pozostał bez skutku. Przypuszczać należy, że i inne Kuratorja pójdą w jego ślady, zwłaszcza po niedawno odbytej w Warszawie konferencji p. Jędrzejewicza, ministra wyznań i oświaty, z kuratorami z całej Polski.



Powody królobójstwa.

W celach politycznych, by zawrzeć ściślejsze węzły przyjaźni między Jugosławją a Francją, udał się Aleksander, król jugosłowiański w początkach października br. morzem do Paryża.

Gdy dnia 9-go tegoż miesiąca wylądował król Aleksander w francuskim porcie, Marsylji i razem z francuskim ministrem spraw zagranicznych Barthou, przejeżdzał autem przez jeden z placów Marsylji, rzucił się niespodzianie pewien osobnik na stopnie samochodu i dał kilka strzałów w stronę króla, które trafiły też i francuskiego ministra.

Król zmarł w kilka minut po tym zamachu, a minister Barthou wieczorem tegoż dnia. Mordercę na miejscu zastrzelono, wykryto też i uwięziono w kilka dni po zbrodni, jego wspólników.

Zabójstwo Aleksandra Karadżordżewicza nie jest pierwszą tego rodzaju zbrodnią w dziejach narodu serbskiego. Jego pradziad zginął też z ręki mordercy w Marsylji w roku 1817, z rozkazu Miłosza Obrenowicza, który po nim objął tron serbski.

Ojciec Aleksandra, Piotr, wstąpił na tron po zamordowaniu (w r. 1903) Aleksandra, ostatniego z rodu Obrenowiczów. Tron po Piotrze, miał objąć jego najstarszy syn, Jerzy, który, chociaż po bohatersku walczył w czasie wielkiej

wojny i ciężko był ranny, został z powodu jakichś niezrozumiałych przyczyn (a nie tylko z przyczyny swej nienormalnej umysłowości) uznany za niezdolnego do objęcia tronu, którego musiał się zrzec i na rozkaz brata młodszego (Aleksandra) został zamknięty w domu warjatów w Topolnicy, gdzie dotychczas przebywa.

Nie w tych jednak rodzinnych zatargach leży powód zamordowania króla Aleksandra, dyktatora Jugosławji. Trzeba, chcąc poznać źródło morderczego zamachu, zwrócić uwagę głównie na w e w n ę t r z n e stosunki Jugosławji.

Jugosławją, w której skład weszły Chorwacja i Sławonja, dawne części Austro-Węgier, rządził niepodzielnie sam król, jako dyktator, i to nie jako dyktator oparty na partji, jak Mussolini, Hitler czy Stalin, lecz oparty na wojsku— i absolutnie, według starego pokroju o bałkańskich manierach.

Poznański „Nowy Kurjer“ charakteryzuje rządy serbskie w przyłączonej Chorwacji i Sławonji, jako rządy wielkiego ucisku.

„Słuszne żądania Chorwatów w dziedzinie politycznej, gospodarczej i kulturalnej spotykały się z całkowicie wrogiem stanowiskiem rządu centralnego w Belgradzie.

Chorwatów (naród katolicki o kulturze Zachodu) zepchnięto na plan drugi, nasyłając im na kierowników w administracji, w wojsku, w szkolnictwie i w sądownictwie Serbów, mało światłych i mało kulturalnych.

Doszło też do zatargu z K o ś c i o ł e m k a t o l i c k i m, gdy pod kuratelę administracji oddano arcybiskupa Zagrzebia, ks. Bauera, za jego rzekomą „nieprawomyślność“. W pałacu jego dokonano bezprawnych rewizyj, które odbiły się głośnem echem w całym świecie katolickim.

Owoce takiej polityki nie dały długo na siebie czekać. W kraju wzrastała z dnia na dzień liczba zamachów, a polityka chorwacka weszła do podziemi“.

Tak pisze wspomniany dziennik poznański.

Dalszem następstwem była emigracja wielu Chorwatów

zagranicę — i tu zrodziła się organizacja „Ustasza" („Powstaniec"), która wydała wyrok śmierci na króla Aleksandra.

Wiele pomogli „Ustasze" swemi funduszami Macedończycy, również niezadowoleni z rządów serbskich, a dążący do zupełnej samodzielności swego kraju.

W tych dążeniach popierał ich rząd bułgarski, który jednak zaczął ich prześladować, gdy król Aleksander zbliżył się przyjacielsko do Bułgarji. W tem zbliżeniu widzieli Macedończycy wielką przeszkodę w urzeczywistnieniu swych dążeń, dlatego i oni pragnęli usunięcia z widowni króla Aleksandra.

W tej tedy wspólności interesów Chorwatów i Macedończyków należy szukać źródła powodów niedawnego królobójstwa.

Wyspa Runoe.

W zatoce ryskiej tj. koło Rygi, (stolicy Łotwy) znajduje się wysepka Runoe, mająca 5 kilometrów długości i 3 kilometry szerokości, na której żyje oddawna gmina szwedzka. Ludność tej wyspy składa się z 300 osób, zamieszkujących 27 zagród wiejskich.

Ziemia jest tam nieurodzajna, więc o uprawie jej nie bardzo można myśleć, a ludność żyje głównie z rybołóstwa i polowań na foki.

Na wyspie panuje „komunizm", (spólnota) ale idealnie pojęty i przeprowadzany. Równość jest zupełna, począwszy od dziecięcia w wózku, a skończywszy na niedołężnym starcu. Sług niema wogóle. Służba u pastora jest urzędem zaszczytnym, które spełniają kolejno raz kobieta, raz mężczyzna.

Własność prywatna nie istnieje z wyjątkiem odzienia, broni i podobnych osobistych przedmiotów.

Nikomu nie wolno sprzedawać swego osiedla, wolno tylko mieszkać w niem, uprawiać ziemię i używać koni. Jeśli zagroda nie posiada dostatecznej ilości rąk do pracy, przydziela się drugą rodzinę do pomocy.

Każda zagroda ma 50 wąskich zagonów ziemi, często tylko półtrzecia metra szerokich, rozrzuconych po całej wyspie. Lasy i pastwiska są własnością wszystkich i wszyscy używają ich równo.

Do budowania domu lub innych prac, wymagających więcej rąk do pomocy, zaprasza się poprostu sąsiadów. Wszyscy pracują naturalnie za darmo, żądając jedynie posiłku.

Pieniądze uzyskane za sprzedane mięso z fok lub za prace wykonane na obcych statkach, które przybiły do brzegów wyspy, dzieli się równo między całą ludność nie wyłączając dzieci, kobiet i chorych.

Prawa ich są spisane w osobnych paragrafach, a częściowo przechodzą tradycyjnie z ust do ust. Najwyższy władca, to prezydent, następnie sekretarz i sędzia, wybierani w powszechnem głosowaniu, w którem kobiety biorą udział, na pewien okres czasu. Urzędnicy nie pobierają pensji.

W ważniejszych wypadkach zwołuje się sejm pod gołem niebem zazwyczaj w lecie. W sejmie każdemu wolno robić, co zechce — palić, leżeć nawet spać. Posiedzenie zaczyna się o 5 rano i trwa nieraz do późnej nocy.

Zbrodnie są na Runoe czemś niesłychanem. Więzienie składa się z dwóch cel, z których tylko jedna, jak mówi tradycyja, była raz zajęta. Wszelkie nowe zarządzenia odtrąca się z tem uzasadnieniem: „Dla naszych przodków były istniejące przepisy wystarczające, muszą więc i dla nas być dobre“.

Obiecująca młodzież!

„Banda“, „hołota“, „swołocz“!

Centralny organ „Legjonu Młodych“, „Państwo Pracy‘, występuje gwałtownie przeciw tym oddziałom „Legjonu“, które się buntują przeciw zasadom głoszonym przez wspomniane pismo.

„Państwo Pracy“ nazywa buntujących się towarzyszy

„swołoczą“, „hołotą sprzedajną“ i wzywa Legjonistów „aby bili w mordę tych, którzy w nich wszczepiają niewiarę (w bolszewicką ideologję „Legjonu Młodych“ — przyp. red.) za brudne, niecne pieniądze“.

„Nadszedł czas, abyście wypędzili ich kijem“.

Oto z takich członków składa się „Legjon Młodych, organizacja ciesząca się szczególną opieką wysokich dygnitarzy!

Należy tu jeszcze wspomnieć o innym organie „Legjonu Młodych“, o wychodzącym we Lwowie „Zrywie“.

Pisze on, że młodzież, jeżeli ma spełnić ciążące na niej zadanie, musi być duchem silna, by budować gmach Sprawiedliwości społecznej, oparty na pierwiastku „Dobra“ i „Prawdy“.

„Niema i nie będzie sprawiedliwości w Polsce, — tak orzeka młodzież legjonowa w swym „Zrywie“ — póki ostatni dziedzic nie zawiśnie na kiszce ostatniego biskupa“.

I to wszystko — jak zauważył „Głos Narodu“, — odbywa się pod hasłem: „Niech żyje Marszałek Piłsudski!“. — Jakaż obiecująca ta młodzież sanacyjna!

Palenie ciał w Japonji.

W żadnym kraju zwyczaj palenia ciał po śmierci, nie jest tak bardzo rozpowszechniony jak w Japoniji. Połowa nieboszczyków idzie tam na stos.

W początkach ubiegłego stulecia wprowadzono ten zwyczaj, ale w ostatnich latach dopiero porzucono pierwotny sposób palenia ciał, zasadzający się na tem, że umieściwszy zwłoki nad grobem na kamieniach, otaczano je drzewem i podkładano ogień. Zwęglone ciało spadało w otwarty grób który zasypywano później ziemią.

W roku 1871 zbudowano pewną ilość lepianek, gdzie odbywalo się palenie nieboszczyków.

Dziś istnieje w Tokio siedm olbrzymich krematorjów, w których mieszczą się 22 piece. Zgorzało tam w roku zeszłym przeszło 20 000 ciał.

Stosownie do zamożności nieboszczyka, pilnuje pieca jeden albo dwóch strażników. Potrzeba trzech do pięciu godzin, ażeby ciało obróciło się w popiół.

Jarmark w Rumunji w dzień św. Teodora.

W rumuńskiem miasteczku Helmagen, w dzień św. Teodora odbywa się dorocznie walny jarmark, na którym obowiązane są być wszystkie młode mężatki z okolicy. Miasto podczas jarmarku jest przybrane w wieńce, flagi itd.; od wczesnego ranka po ulicach snują się odświętnie przybrane młode kobiety, w towarzystwie teściowych.

Każda z nich trzyma kubek wina, a spotkawszy kogokolwiek z mężczyzn całuje go i częstuje następnie winem. Ten, odwdzięczywszy się za pocałunek pocałunkiem, musi zarazem ofiarować jaki drobny podarek. Zwyczaj ten pochodzi z czasów wojny z Turkami.

Niewiasty, będąc ongi uprowadzone przez niewiernych w jassyr, zdołały zbiedz szczęśliwie i schronić się do Helmagone, właśnie podczas jarmarku św. Teodora, a uradowane odzyskaną wolnością, całowały każdego kto im wybawienia winszował.

Prześladowanie katolicyzmu w Meksyku.

Walka bezbożników z religją trwa dalej, a właściwie potęguje się. Mają być wydaleni z Meksyku wszyscy biskupi, a liczba księży, których rząd chce zmusić do żeniaczki, bywa coraz bardziej ograniczona. Są już parafje liczące po 25 a nawet po 50 tysięcy katolików, mające do obsługi duchownej tylko jednego księdza.

Domy Boże przemienia rząd bezbożny jedne na garaże dla samochodów, na szkoły lub domy klubowe, a inne powoli niszczeją, bo się nikt o nie troszczy.

Mimo to ludność Meksyku trwa w swej wierze. Kościoły, które jej zostawiono, są pełne w niedziele i święta. Niema domu bez krzyża na ścianie, niema podwórza bez niszy w murze z figurą Matki Bożej gwadelupeńskiej.

Ponieważ rząd zabronił księżom udzielania nauki religji w szkole i w kościele, przeto panie zajęły miejsce księży i one uczą dziatwę i młodzież zasad wiary.

Ten ucisk Kościoła w Meksyku bardzo się podoba naszym socjalistom i cieszy ich także nauka udzielana w szkołach meksykańskich, gdyż w nich wychwalany bywa socjalizm, a przytem odbywa się uświadamianie młodzieży, które, jak wiadomo, prowadzi do zdemoralizowania tejże.

Warszawski „Robotnik“, (wychodący teraz w Krakowie jako „Naprzód“) nazywa wydalenie biskupów katolickich z Meksyku, a także bolszewizowanie i demoralizowanie młodzieży w szkołach: „postępem“.

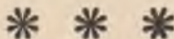
Ładny postęp!

Gdzie jest morderca
śp. ministra Pierackiego?

„Kurjer Poznański“ a za nim „Piast“ i inne pisma zapytują: „Gdzie morderca śp. min. Pierackiego? Jaki był motyw jego działania? Z czyjej on był wykonany poręki?

Trzy miesiące przeszło upłynęły od mordu dokonanego na śp. Pierackim, a mordercy niema. Czy zginął? A co słychać z jego wspólnikami zbrodni? Co się z nimi dzieje? Czy śledztwo ukończone? Kiedy odbędzie się rozprawa karna?

Pytania te męczą społeczeństwo. Odpowiedź musi nastąpić. Opinja publiczna nie zapomni tajemniczego zgonu śp. Bronisława Pierackiego, jak nie zapomni nigdy tajemniczego zaginięcia generała Zagórskiego.



O szkarlatynie.

Niema środków w medycynie, ażeby zapobiec szkarlatynie. Można jednak znacznie złagodzić przebieg choroby przez czyste utrzymanie ciała dziecięcia i przez czyste i porządne utrzymywanie mieszkania. Odory i wyziewy zaduszne sprzyjają tworzeniu się zarazków, a więc łatwo sprowadzają szkarlatynę.

Oprócz tego należy jak najusilniej uważać, aby nie narażać dziecka na zarażenie się chorobą, unikać tedy należy domów, gdzie się już choroba ta pojawiła, a także — jak zawsze zresztą — unikać przeziębienia.

Jakież są pierwsze objawy tej bardzo niebezpiecznej choroby? Dziecko, zaatakowane przez szkarlatynę, skarży się zwykle na osłabienie ogólne, brak apetytu i czasem dreszcze, pod wieczór zwykle dostaje gorączki.

Prawie zawsze występuje trudność w połykaniu i zaczerwienienie gardła, a charakterystycznemi są także wymioty, które zdarzają się przy każdym prawie wypadku. Skoro się tedy takie pojawią oznaki, przedewszystkiem natychmiast zawezwać lekarza, do którego poleceń stosować się jak najściślej, jeśli się nie chce mieć na sumieniu życia własnego dziecięcia.

Wielki procent śmiertelności dzieci na tę chorobę pochodzi właśnie stąd, że nie słuchamy przepisów lekarza i dajemy np. dziecku jeść i pić to, co tylko samo pragnie... Djeta jest w każdej chorobie, a tem bardziej w tak niebezpiecznej, regułą zasadniczą, dlatego-też trzeba jej bacznie przestrzegać, zwłaszcza u dzieci, które rozumu nie mają i nie mogą wiedzieć, co im zaszkodzi, co stan ich choroby pogorszy.

A więc przedewszystkiem nie wolno dziecku choremu na szkarlatynę dawać stałych pokarmów. Spożywać ono może płynne tylko potrawy w umiarkowanej ilości, a podane czysto i starannie przegotowane.

Choremu dziecku podawać możliwie najlepsze mleko, które za każdym razem musi być przegotowane. Tak samo

dobrą jest gorąca herbata, która często dziecku na orzeźwienie może służyć. Pamiętać należy, że można dawać pić często, ale w małych ilościach, zwłaszcza gorącą wodę.

Z pokarmów więcej stałych dawać można kaszki gotowane na mleku i wodzie, mięsnych pokarmów nie wolno dawać wcale.

Dla odkażenia mieszkania dobrze i pożytecznie bardzo jest skrapiać codziennie podłogę, pościel i łóżko 5-cio procentowym rozczynem kwasu karbolowego, który zabija unoszące się w powietrzu mikroby szkarlatyny. Pościel z łóżka chorego dziecka należy prać zaraz i osobno, ażeby zarazki, znajdujące się na niej, nie dostały się do innej pościeli i nie zaraziły innych dzieci. Nie potrzebujemy dodawać, że nie wolno kłaść dzieci zdrowych do jednego łóżka z chorem.

Najniebezpieczniejszym okresem szkarlatyny jest ten, kiedy skóra charakterystycznie czerwona w tej chorobie zaczyna się łuszczyć. Właśnie te łuski, te cząstki skóry chowają się w bieliźnie, pościeli i przenoszą się łatwo na inne dzieci, a zawierając w sobie zarazki, zagrażają najsilniej przeniesieniom choroby; skoro ustąpi czerwony kolor skóry i łuszczenie się tejże, nie myślcie, że to już koniec choroby! Po żadnej chorobie nie następują u dzieci tak groźne następstwa jak właśnie po szkarlatynie i dlatego przez 2 do 3 miesięcy jeszcze po okresie łuszczenia należy je odżywiać higjenicznie.

Sama szkarlatyna nie jest nawet tyle niebezpieczną, co właśnie rozmaite jej następstwa, oraz towarzyszące jej choroby inne.

Cieczenie z uszu, zanik sił i osłabienie ogólne, wyrzuty na ciele, brak apetytu, niedyspozyje nerkowe, choroby żołądka i kiszek, a nawet reumatyzm i paraliż, wszystkiemu temu szkarlatyna ułatwia przystęp.

Widzimy tedy, jak bardzo groźna to i niebezpieczna choroba. Niechajże te pobieżne i krótkie uwagi posłużą ku pouczeniu i przestrodze.

TO i OWO.

Co uchwaliła Wieliczka!

Rada gminna miasteczka Wieliczki, słynnej z kopalni soli, uchwaliła nadać trzem ulicom nazwy żydowskie.

Uchwała zapadła prawie jednogłośnie, a najwięcej popierał ją profesor gimnazjum wielickiego Dr. Żywiec, rodem z Krościenka pod Krosnem. Czy Krościeńczanie ucieszą się tym występem swego krajana — bardzo wątpimy.

Rewizja na polskiem probostwie.

W Bolechowie (w Małopolsce Wschodniej) władze zarządziły poszukiwania za ulotkami przeciwżydowskiemi. Za rzekome rozrzucanie tych ulotek uwięziono ukończonego słuchacza Akademji weterynaryjnej p. Kuziara i miejscowego organistę.

Organistę po przesłuchaniu na policji wypuszczono, p. Kuziara zaś odwieziono do aresztów śledczych w Stryju, gdzie go przetrzymano kilka dni. Równocześnie urządzono rewizję na plebanji łacińskiej. Mimo zapewnień ks. kanonika Stasińskiego, że nie ma u siebie żadnych ulotek antyżydowskich, trzech ajeutów policyjnych w towarzystwie posterunkowych zrewidowało mieszkanie ks. proboszcza, kancelarję parafjalną, przeszukano nawet strych i piwnice i naturalnie — niczego nie znaleziono.

Hojna ofiara na rzecz powodzian.

Polacy w Ameryce złożyli dotąd na rzecz powodzian w Polsce 70 tysięcy dolarów.

Osobno Zjazd Polek w Filadelfji wręczył generalnemu konsulowi p. Marchlewskiemu czek na 500 dolarów na pomoc ofiarom powodzi. Również w innych osiedlach polskich odbywa się dalej zbiórka na rzecz powodzian z Małopolski Wschodniej.

Czworo dzieci polskich we Francji spłonęło żywcem.

W mieszkaniu górnika polskiego, Mańskiego w Amiens, wybuchł 21 bm. pożar, wzniecony przez dzieci bawiące się zapałkami a pozostawione same bez opieki.

Nie mogąc wydobyć się z zamkniętego mieszkania, wszystkie czworo dzieci spaliły się żywcem wśród strasznych męczarni. Ogień z powodu braku dostępu powietrza sam wygasł, a nieszczęśni rodzice po powrocie zastali w domu już tylko zwęglone ich zwłoki.

Kobieta w psiej budzie.

W Słonimie (na Litwie) władze policyjne wykryły, że Marja Bibik, umysłowo chora, została przez swego męża umieszczona w budzie przeznaczonej dla psa, gdzie od dłuższego czasu przebywała zamknięta.

Gdy policja wkroczyła, nieszczęśliwa kobieta siedziała w najokropniejszych warunkach skulona w kącie budy i błędnym wzrokiem patrzała na ludzi. Policja zaopiekowała się Bibikową i jej brutalnym mężem.

Zadziwiająca cecha obłąkania.

Jedną z najwięcej zadziwiających cech obłąkania jest b r a k ł e z. Furjaci, melancholicy, manjacy nigdy nie płaczą, a jeżeli zdarzy się, że jaki warjat w szpitalu zaleje się łzami, to dowód, że zaczyna przychodzić do zdrowia.

Jedynie ludzie, znajdujący się w posiadaniu wszystkich władz umysłowych mogą płakać i w łzach znaleźć ulgę dla swojej boleści; warjat będzie opowiadał o największych cierpieniach, będzie się skarżył na okrutne katusze, a mimo to oczy jego będą suche.

Trzypiętrowy autobus.

W Rzymie został oddany do użytku trzypiętrowy autobus, który może pomieścić 88 pasażerów.

Autobus ten posiada oddzielne przedziały dla palących oraz dla pasażerów z psami.

Piecyk kieszonkowy.

Zimą każdy prawie Japończyk nosi przy sobie piecyk kieszonkowy.

Ponieważ piecyk ten nie jest o wiele większy od papierośnicy, więc też bardzo łatwo i wygodnie można go nosić w kieszeni.

Nawet dzieci w wieku szkolnym noszą przy sobie takie małe piecyki, by ogrzać się w drodze do szkoły i z powrotem.

Piecyki te składają się z płaskich naczyń, zawierających żarzące się substancje, których spalenie odbywa się bez wydzielania dymu i gazów.

Jest to możliwe dzięki składowi chemicznemu żarzącego się materjału, który zawiera głównie zwęglone łodygi konopne i olej roślinny w stałej masie.

Miasto mężczyzn.

Majmaczyn, w Chinach, jest jedynem miastem w świecie, zamieszkanem wyłącznie przez mężczyzn. Żadna kobieta nie może tu przebywać, nie wolno im nawet przechodzić przez wielki mur Kalkan, stanowiący granicę Mongolji. Chińczycy z Majmaczynu trudnią się handlem.

Kobiety są także wyłączone z półwyspu Athos (nad Morzem Czarnem), rzeczypospolitej, zaludnionej przez kilka tysięcy zakonników i pustelników prawosławnych.



Różne rady pożyteczne.

Ser z kartofli. W Turyngji i w Saksonji wyrabiają bardzo dobry ser z kartofli, który daje się długo przechowywać i z czasem zyskuje na dobroci. Przyrządza się go w ten sposób: duże, białe kartofle gotuje się w kotle, a po ochłodzeniu tłucze się na miazgę.

Dodawszy kilogram mleka kwaśnego na pięć kilogramów miazgi, ugniata się ją i pozostawia w pokoju przez cztery lub pięć dni, w naczyniach przykrytych.

Po upływie tego czasu, ugniata się sery i umieszcza w małych koszyczkach, które przepuszczają zbytnią wilgoć. Następnie suszy się je w cieniu i warstwami układa w beczki lub wielkie gliniane naczynia, gdzie powinny leżeć przynajmniej dwa tygodnie.

Zabezpieczenie powideł od pleśni. Powidła należy układać bardzo szczelnie, ażeby nie było miejsc pustych, a chcąc je zabezpieczyć od pleśni, trzeba zalać garnek po wierzchu czystym miodem.

Skwaśniałe powidła powtórnie się przesmaża, dodawszy do nich nieco potażu, co im przywraca smak pierwotny.

Wywabianie plam tłustych z papieru. Chcąc wywabić tłustą plamę z papieru, sypie się na miejsce splamione miałką kredę i zostawia na 24 godziny. Najpierw dokonywa się tego na prawej, potem na lewej stronie.

Kit do sklejania figur gipsowych. Chcąc mieć taki kit, łączy się razem niewielką ilość wody, gipsu, palonego wapna i białka z jaja.

Z krainy Śmierci.

Strapionym matkom — ku rozwadze i pocieszeniu.

I.

Siedziała matka przy kolebce dziecięcia. Siedziała smutna, bardzo smutna. Serce jej drży z trwogi o życie jedynaka.

Dziecina taka blada, oczka ma zawarte, oddycha cicho, ale czasem tak z głębi piersi, że oddech do westchnienia podobniejszy.

Wtem do drzwi zakołatano. Weszła jakaś uboga, stara kobieta, w gruby koc koński zawinięta — na dworze bowiem srożyła się już zima i wiatr przejmujący dął, jakby nożem twarz krajał.

Stara drżała od zimna. Dziecię na chwilę usnęło. Więc powstała matka i przystawiła do ognia garnuszek z mlekiem, aby przybyła miała się czem ogrzać i posilić. Stara usiadła i dziecię kołysała. Usiadła i matka tuż przy niej, wpatrywała się w chorą dziecinę, ująwszy ją za rączki.

— Nieprawdaż? I wy myślicie, że go nie stracę — rzekła matka. — Bóg dobry nie zabierze mi mego dziecięcia.

Stara pokiwała głową, ale tak jakoś dziwnie, że trudno było domyśleć się właściwej odpowiedzi.

Matka spuściła oczy, łzy potoczyły się po twarzy. Głowa jej bardzo ciężyła, bo biedna matka już trzy noce i dni oka nie zmrużyła. Zdrzemnęła się ze znużenia, ale tylko na minutę. Wnet się ocknęła i ze zimna zadrżała.

— Co to jest? — zawołała, rzucając okiem na wszystkie

strony. Starej nie było i dziecięcia nie było, widocznie stara zabrała je z sobą, a tam w kącie u starego zegara, który skrzypiał bezustanie, ciężka waga ołowiana spadła właśnie z łoskotem na podłogę i zegar stanął.

Przerażona matka wybiegła z chaty i wołała za dzieckiem swojem.

Na dworze wśród śniegu siedziała niewiasta w długiej czarnej szacie. Usłyszała ona to rozpaczliwe wołanie i rzekła do matki:

— Śmierć była w twej chacie; widziałam ją spiesznie uchodzącą z dzieckiem twojem. Pędzi ona prędzej niż wiatr, a nigdy nie zwraca, co zabrała.

— Powiedz mi tylko, w którą udała się stronę — zawołała matka — wskaż tylko drogę a już i Smierć dogonię.

— Drogę znam — odrzekła czarna niewiasta — ale zanim ci ją wskażę, zaśpiewasz mi wszystkie pieśni, które śpiewałaś dziecku swemu. Lubię te pieśni i słyszałam je nieraz. Jestem „Noc“. Widziałam łzy, które, śpiewając, wylewałaś.

— Zaśpiewam ci wszystkie, co do jednej — rzekła matka — ale ulituj się, nie zatrzymuj mnie, muszę Śmierć dogonić i odebrać dziecię moje.

„Noc“ milczała. Więc załamała ręce matka nieszczęśliwa i wśród rzewnego płaczu śpiewać zaczęła. Było tam wiele tych pieśni serdecznych, ale łez jeszcze więcej.

Nasłuchawszy się dowoli, rzekła „Noc“ :

— Idź w prawo, w ciemny bór sosnowy, tam pogoniła Śmierć z dzieckiem twojem.

Pogoniła więc matka. W głębi boru rozstajna droga. Znów więc nie wiedzieć, w którą puścić się stronę.

Tuż przy rozdrożu stał krzak tarniny bez liści i kwiatów, za to uginał się pod ciężarem śniegu i sople wisiały z gałęzi, zwyczajnie, jak to bywa w zimie.

— Czy nie widziałaś Śmierci, unoszącej dziecię małe? — spytała matka tarninę.

— Widziałam — odpowie zapytana ale drogi nie po-

każę, dopóki mnie nie ogrzejesz u piersi swojej. Patrz, ginę tu z zimna, w lód się zamieniam.

Chwyciła więc krzak biedna matka i co sił do łona przyciskała. Ciernie wbijało się w ciało i krew wielkiemi spływała kroplami. Ale tarnina niebawem liść świeży puściła i zakwitła wśród mroźnej nocy zimowej. Tyle to i takie ciepło u łona matki strapionej.

Tarnina wskazała drogę. Spieszy więc biedna matka i niebawem nad wielkiem staje jeziorem. Nigdzie nie widać ni statku ni łodzi. Jezioro nie było całkiem zamarzłe, aby je przebyć po lodzie, a w bród niepodobna puszczać się na tak wielki i głęboki przestwór. A przecież trzeba było dostać się na brzeg drugi, aby Śmierć dogonić.

Rzuciła się więc matka na brzeg i zdawało się jej, że zdoła wypić wody jeziora. Ale to praca próżna, praca nad siły człowieka. Nie zważała na to matka stroskana, myślała sobie, że może cud jaki się stanie.

— Ależ temu nie podołasz! — zawołało jezioro. — Raczej ugódź się ze mną. Lubię zbierać perły, a oczy twoje, to para pereł najczystszych, jakie mi kiedykolwiek widzieć się zdarzyło. Wypłacz je w wody moje, a przeprawię cię do wielkiej cieplarni, w której Śmierć hoduje kwiaty i drzewa. Każde z nich, to życie ludzkie.

— O, czegobym nie oddała, byle się dostać do dziecka mojego! — rzecze matka zapłakana i jeszcze rzewniejszemi zalała się łzami. A wśród płaczu tego oczy jej wypłynęły i jako drogie perły wpadły na dno jeziora

Wnet wzdęły się fale wody, pochwyciły matkę i jakby na huśtawce w ruch wprawionej, na przeciwległy brzeg ją przeniosły.

Tam stał gmach dziwny, na wiele mil długi. Trudno było wiedzieć, czy to była góra z jaskiniami, lasami pokryta, czy też budynek umyślnie wystawiony. Biedna matka nie mogła go widzieć, bo już oczu nie miała.

— Gdzież tu Śmierć znajdę, co mi dziecię zabrała?

— Jeszcze nie powróciła — odrzekła siwa niewiasta,

która przechadzając się, miała dozór nad wielką cieplarnią Śmierci.

— Ale jakżeś się tu dostała i za czyją pomocą?

-- Bóg mi dopomógł — odrzekła matka. — Wszak On litościwy, a i wy ulitujecie się nademną. Gdzież znajdę dziecię moje?

— Nie znam go — rzekła staruszka — a ty widzieć nie możesz. Wiele kwiatów i drzew uwiędło tej nocy. Śmierć niebawem przybędzie, aby je przerzedzać. Wiesz przecież, że każdy człowiek ma drzewo lub kwiat swego życia. Podobne one do innych roślin, tylko biją w nich serca. Serca dziecięce także biją. Uważaj na to; — może poznasz bicie serca twojego dziecięcia. Ale co mi dasz, abym ci powiedziała, co jeszcze masz czynić?

— Nie mam już nic do rozdania — rzekła matka. — Chyba pójdę za tobą, choćby na koniec świata.

— Nie mam tam nic do załatwienia. — rzekła siwa dozorczyni — Ale możesz mi dać swe długie, czarne włosy, a wiesz przecież, jakie one piękne; bardzo mi się podobają. Dam ci w zamian moje, białe; i one także coś warte.

— Czy już niczego więcej nie żądasz? — zapytała matka. — Włosy moje dam ci z ochotą. — I oddała swe krucze włosy, a wzięła jak śnieg białe włosy staruszki.

Poczem poszły obie do wielkiej cieplarni Śmierci, gdzie pomieszane dziwnie rosły kwiaty i drzewa. Tu, pod przykrywami szklannemi stały hjacynty i wielkie, na kształt drzew, róże; tam dalej rosły wodne rośliny, jedne całkiem świeże, drugie na wpół zwiędłe, węże wodne roiły się po nich, a czarne raki łodyg się czepiały. Ówdzie wznosiły się wspaniałe platany, palmy, dęby, a w pobliżu były jarzyny i tymiany kwitnące.

Wszystkie drzewa i kwiaty miały swe nazwiska, każde było życiem ludzkiem. Ludzie ci żyli jeszcze, ten w Chinach, tamten w Grenlandji, inni w Afryce, w Europie, rozprószeni po całej kuli ziemskiej. Były tam wielkie drzewa w małych wazonach; widocznie ciasno im w nich było, gdyż zdawało się, że wnet je rozsadzą.

A były też niektóre małe, nikłe kwiatki w pulchnej ziemi, wokoło mchem obłożone, snać je troskliwie hodowano i pielęgnowano.

Stroskana matka pochylała się nad każdym najmniejszym kwiatkiem w każdym bicie serca słyszała — i wśród miljonów kwiatów poznała serce swojego dziecięcia!

— Mam je, mam! Dziecię moje drogie! — zawołała, wyciągając rękę nad małym kwiateczkiem, schorzałym i pochylonym.

— Nie dotykaj się kwiatka! — rzekła dozorczyni cieplarni. — Ale stań tu na boku, a gdy Śmierć przybędzie — co chwila jej się spodziewam — nie daj go wyrwać, lecz zagróź, że wszystkie jej powyrywasz. Zlęknie się tego, bo odpowiada za to przed Bogiem, bez którego woli żadnej rośliny wyrywać nie można.

Wtem naraz zaszumiał po cieplarni wiatr, jak lód zimny i matka, wzroku pozbawiona, uczuła przybycie Śmierci.

— Jakim cudem znalazłaś drogę do tego przybytku — i jak mogłaś prędzej odemnie tu zdążyć? — rzekła Śmierć.

— Jestem matką! — odpowiedziała zapytana.

Śmierć wyciągnęła długą swą rękę za małym kwiatkiem ale matka przykryła go rękami i zasłoniła przezornie, aby żabnego nie dotknęła listeczka.

Wtem Śmierć zionęła swym oddechem na jej ręce, biedna matka uczuła zimno dotkliwsze od najchłodniejszego wiatru; ręce jej omdlały i opadły.

— Mnie nie podołasz — rzecze Śmierć.

— Ale Pan Bóg miłosierny uczynić to może — odparła matka.

— Pełnię tylko Jego wolę — powie Śmierć. — Jestem Jego ogrodniczką. Kwiaty i drzewa, które On sadzi, zabieram i przesadzam do wielkiego rajskiego ogrodu, w krainę nieznaną. Co się tam z nimi dzieje i jak tam wygląda, tego mi nie wolno tobie powiedzieć.

— Oddaj mi dziecię! — rzewnie płacząc, błagała matka. A chwyciwszy za dwa piękne kwiatki, zawołała: Wyrwę ci wszystkie twoje kwiaty! Czy znasz rozpacz matki?

— Nie ruszaj ich — rzekła Śmierć. — Narzekasz na swe nieszczęście, a właśnie w tej chwili chciałaś uczynić równie nieszczęśliwą drugą matkę!

— Drugą matkę? — powtórzyła nieszczęśliwa i oba kwiaty z rąk wypuściła.

— Masz oczy twoje — rzekła Śmierć. — Wydobyłam je z jeziora, świeciły tam jasno, jak drogie kamienie. Nie wiedziałam, że to twoje. Weź je, teraz one jeszcze jaśniejsze niż przedtem.

— Popatrz tuż obok w studnię! Powiem ci nazwiska obu kwiatków, które wyrwać zamierzałaś. — Obaczysz, coś chciała zniszczyć i zgubić.

Matka spojrzała w studnię. Rozkoszą było widzieć, jak jeden z kwiatków stał się błogosławieństwem dla świata; ile radości i szczęścia roztaczał wokoło. Widziała też życie kwiatka drugiego: było ono pasmem trosk, biedy, niedoli i nędzy.

— Taka jest wola Boża! -- rzekła Śmierć.

— Któryż z tych kwiatów jest kwiatem nieszczęścia? Który błogosławieństwa? — zapytała matka.

— Tego ci nie powiem — rzekła Śmierć — ale wiedz o tem, że jeden z nich jest twego dziecka kwiatem. Widziałaś dolę, przyszłość własnego dziecka!

Biedna matka wszystko już zrozumiała. Głośny krzyk boleści i przestrachu wyrwał się z jej piersi.

— Skoro ten drugi kwiatek ma być przepowiednią życia mego dziecięcia — to wybaw je od czekającej go nędzy, zabierz je raczej! Zanieś do królestwa Bożego! Zapomnij łez moich, zapomnij próśb i wszystkiego, com uczyniła.

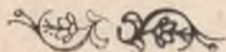
— Nie rozumiem cię — rzekła Smierć. — Czy chcesz, abym ci oddała dziecię, czy mam je zanieść w krainę nieznaną?

Matka załamała ręce — i padłszy na kolana, modliła się:

„Nie słuchaj mnie Panie, gdyż prośba moja sprzeciwia

się woli Twojej, która zawsze jest lepsza od ludzkiej woli. Nie przychylaj się do prośby mojej! Skoro dziecię moje czekałaby nieszczęśliwa dola — zabierz je sobie!“.

Głowa opadła jej na piersi — a Śmierć odeszła z dzieckiem w krainę wieczności.



II.

Nie płacz matko!

Raz matuli jednej młodej,
Zmarło ukochane dziecię,
Więc przestały szumieć wody,
Rosy srebrzeć się na kwiecie,
Ptaszki śpiewać, słońce świecić.
Tak tej matce się zdawało,
Bo jej dusza chciała lecieć
Za dzieciną swoją małą.
Matuś niegdyś piękna, miła,
Jak różany kwiat,
Z żalu strasznie się zmieniła.
Oczy ciągle zapłakane,
Białe ręce wciąż łamane,
Bo za dzieckiem tak tęskniła,
Że się zmienił dla niej świat.
A mówiła własna matka
I mąż mówił, i ksiądz stary,
Powtarzała i sąsiadka,
Że grzech płakać tak bez miary,
Bo i dola i niedola
Wszystko zsyła Wyższa Wola,
A więc zgadzać z nią się trzeba.
Młoda matka nie słuchała,
I płakała, wciąż płakała.

A gdy nadszedł w listopadzie
Dzień Zaduszny, dzień ponury,
Matuś wianki na grób kładzie,
A tam w górze płaczą chmury.

I znów płacze, aż omdlała,
Wtem dziwnego coś się stało:
Ze skrzydłami postać biała,
Zjawiła się przed omdlałą.
Przez cmentarne, kręte drogi,
Środkiem mogił szła daleko,
Za nią szereg dziatek długi
Płynął cicho, jakby rzeką.

Spora była to gromadka,
Smutno szły po smutnym świecie,
Aż w ostatnim biedna matka
Rozpoznała własne dziecię.
Chciała krzyknąć, nie zdołała,
Zdrętwiałemi z dziwu usty,
Chciała chwycić, lecz chwytała
Tylko lekki, wietrzyk pusty.

Dziecię przecież przyszło do niej,
Białe, blade, tak jak płótno,
Dzban łez pełen niosąc w dłoni,
Pokazała go jej smutno,
Dążąc z trudem za innemi,
W swą cmentanrną drogę żmudną:
„Nie płacz matko tam na ziemi,
Bo mi dźwigać łzy twe trudno“.

Takie słowa lekki wietrzyk
Szepnął matce rozbolałej —
I rozwarła wnet powieki
Na mogiłce dziecka małej.

Słońce już świeciło z rana,
Matka sen swój zrozumiała
I upadła na kolana,
I już płakać zaprzestała.

Wieści z za grobu.

Niedowiarek nawrócony przez ducha.

W ósmym dziesiątku 17-go stulecia, to jest około roku 1680, żył w Czerniakowie pod Warszawą, książę Stanisław Lubomirski, właściciel rozległych włości i dóbr czerniakowskich.

Książę Stanisław był człowiekiem nadzwyczaj roztropnym, nad wyraz szlachetnym, dobrym panem dla swoich poddanych i miłosiernym dla biednych.

Ale jak niema człowieka bez wady, tak też i książę Lubomirski miał jedną wadę, którą nabył przez czytanie francuskich książek filozoficznych, a wadą tą był brak wiary w życie pozagrobowe i w nieśmiertelność duszy.

Zdobywszy tak — według jego przekonania — znakomitą wiadomość, chciał się z nią podzielić z innymi, w tym więc celu zaczął pisać wielce uczone dzieło, w którem usiłował udowodnić, że dusza ludzka bynajmniej nieśmiertelną nie jest, lecz przestaje istnieć razem ze śmiercią człowieka.

Lecz widocznie dobre uczynki księcia sprawiły, że Pan Bóg miał miłosierdzie nad nim i nad jego zaślepieniem, z którego chciał go wyleczyć.

Pewnego razu, gdy książę Stanisław wracał w otoczeniu swego licznego dworu z Warszawy do Czerniakowa, a dzielne rumaki przy książęcej kolasie posuwały się z powodu rozmokłej od deszczów drogi wolno naprzód, spostrzeżono na wąskiej drożynie wiodącej do lasu, zaprzężony

w liche koniki wóz, który ugrzązł w trzęsawisku, a przy nim niewiastę, która płakała i załamywała ręce.

Zwrócono na nią uwagę księcia. Ten rozkazał zatrzymać się swojej karecie, odprządz od niej konie, założyć do wozu utopionego w błocie i wyciągnąć go na drogę.

Rozkaz spełniono natychmiast, a gdy wóz wieśniaczy przejeżdżał koło księcia, zobaczył w nim leżącego nieboszczyka i idącą przy wozie zapłakaną kobietę.

Litościwy książę jął się jej wypytywać co się stało, i wnet się dowiedział, że nieszczęśliwa niewiasta pojechała rano z mężem do lasu po drzewo, gdzie biedny wieśniak padł martwy, uderzony olbrzymim spadającym konarem.

Dobry książę pożałował wdowy serdecznie, upomniał, aby nie płakała i dał jej sporą sumę pieniędzy, żeby miała za co męża pochować — i dopiero po spełnieniu tego szlachetnego uczynku, pojechał dalej, błogosławiony przez pocieszoną przez niego wdowę.

Wróciwszy do domu, zajął się znowu książę z wielką pilnością pisaniem swojego dzieła ulubionego o śmiertelności duszy. Aby nie mieć w pisaniu przeszkody, rozkazał dworzaninowi czekać w przyległym pokoju i nikogo do jego pokoju nie wpuszczać.

Drugiej nocy po powrocie, a była to może już północ, gdy książę zajęty był pisaniem wspomnianego dzieła, naraz usłyszał poza sobą lekki szelest. Książę sądząc, że to dworzanin wszedł do pokoju, odwrócił się niezadowolony, że mu w pracy przeszkadza.

Ale jakież było zdumienie księcia Stanisława, gdy ujrzał przed sobą owego wieśniaka, którego dnia poprzedniego ujrzał jako nieboszczyka na wozie i kazał wóz z nim z trzęsawiska wydobyć.

— Czego żądasz odemnie i jak się tu dostałeś? — zawołał zmieszany i zatrwożony książę, bo nie rozumiał, jakim sposobem ten, który już nie żył, mógł przyjść do niego.

— Duchem jestem — odparł wieśniak — więc dla mnie nie istnieją żadne drzwi, ni stróże. Przysłano mnie zaś do ciebie, abym ci podziękował, żeś kazał ciało moje z błota

wydobyć, oraz, żeś nie szczędził pociechy i pomocy mojej żonie, która bez twoich pieniędzy, nie byłaby mnie miała za co pogrzebać.

— Jakto! — zawołał książę — tyś pogrzebany, a mimo to przyszedłeś do mnie?

— Jak widzisz — odrzekł wieśniak — ciało moje leży w grobie, a tu przed tobą stoi duch nieśmiertelny, który nigdy nie umiera. Zaprzestań przeto twojego grzesznego pisania, bo sam jesteś w błędzie i drugich w błąd wprowadzisz. Wierz i bądź przekonany że dusza ludzka żyje po śmierci człowieka, bo ją Pan Bóg stworzył na obraz i podobieństwo swoje. Pamiętaj!...“

Domówiwszy tych słów, nieboszczyk zniknął, a książę siedział dłuższą chwilę zadumany i z przestrachu jakby do miejsca przykuty.

Nareszcie wezwał dworzanina i rzekł:

— Dlaczego wpuściłeś tego wieśniaka, kiedy sam być chciałem?

— Jakiego wieśniaka, miłościwy książę? — pytał zdumiony dworzanin.

— Tego, który przed kilku minutami wyszedł odemnie.

— Miłościwy panie, nikt nie przechodził przez pokój, ani wychodził od księcia! — zarzekał się dworzanin. — Żaden wieśniak dziś w pałacu nie był, ani żądał widzieć się z księciem. teraz noc głęboka, bramy i drzwi pozamykane, nikt wejść nie mógł, a w pałacu wszyscy pogrążeni we śnie.

Książę odprawił dworzanina, bo przekonał się, że ten nic nie widział, ale zjawienie się nieboszczyka i jego przestroga tak głęboko przejęły księcia, że zaprzestał dalszego pisania o śmiertelności duszy, a to, co napisał, w ogień wrzucił. Pragnąc zaś przebłagać Pana Boga za swoje niedowiarstwo, ślubował pielgrzymkę do Rzymu.

Spełniwszy ten ślub, ufundował w Czerniakowie wspaniały kościół i przygotował w nim grób dla siebie a nad grobem umieścił napis: „Tu leży grzesznik, fundator tego kościoła“.

Córka zamordowana przychodzi do matki.

Dienniki wileńskie z grudnia 1930 r. przyniosły interesujące sprawozdanie z rozprawy o morderstwo:

We wrześniu 1929 r. zaginęła bez śladu młoda mieszkanka wsi Miszkinele, w gminie niemenczyńskiej, Stanisława Sudenisówna.

Wszczęto dochodzenia, w trakcie których ustalono, że po raz ostatni widziano Sudenisównę w towarzystwie jej narzeczonego Stanisława Orszewskiego, który nie kwapił się wcale do ożenku, choć panna gwałtownie domagała się ślubu.

Ale winy Orszewskiego nie udało się stwierdzić. Przyszła zima. Praca, kłopoty codziennego życia Sudenisów, ukoiły ich niepokój o los córki, już zaczęli o niej zapominać, gdy oto pewnej nocy przed łożem starej Sudenisowej zjawiła się postać córki.

Nazajutrz powtórzyło się to samo, lecz teraz zjawa przemówiła:

„Szukajcie mnie na polach Stanisława“.

Poruszona do głębi Sudenisowa, nie czekając dnia, ubrała się i pojechała do Niemenczyna. Policja nie zbagatelizowała opowiadania przybyłej kobiety i niezwłocznie raz jeszcze przeszukała pola Orszewskiego. Daremnie! Śnieg przysypał wszystko, nic szczególnego dostrzec się nie dało. Na wiosnę niepokojące sny powtórzyły się już wyraźniej. Senna mara Sudenisówny zaprowadziła matkę na porastające żytem zagony.

„Tu leżę, tu mnie szukajcie“.

Na wskazane miejsce sprowadzono Orszewskiego. Zmuszono go do kopania. Rydel zgrzytnął. Natrafiono na kamienie, a pod nimi.. leżały zwłoki Sudenisówny.

W czaszcze tkwiła kula z rewolweru Orszewskiego.

Nie śmiał zapierać się zbrodni. Przyznał się:

— Przyszła do mnie w nocy... Żeń się, bo co będzie z dzieckiem... Strzeliłem.

Dwie instancje skazały Orszewskiego na 15 lat ciężkiego więzienia.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Ks. Marceli Dziurzyński.

TROCHĘ ROZRYWKI

W SZKOLE.

Nauczyciel pyta ucznia: — Co to jest wilk?
Uczeń: — Dziki pies.
— Co to jest tygrys?
— Dziki kot.
— A co to jest auto?
— Dzika furmanka.

DOBRY ZIĘĆ.

— Opowiem ci kawał taki, że pękniesz ze śmiechu!
— Mój kochany, opowiedz go mojej teściowej...

RÓŻNICA.

— Mamo, co to jest „defraudant"? Czy to jest złodziej?

— Tak, moje dziecko, ale w lepszym gatunku.

SKRÓCONA DROGA.

— Chłopcze! Ile kilometrów do wsi? — pyta podróżny jakiegoś wiejskiego malca.

— Było trzy, a teraz jest dwa.

— Jak to być może?

— Nie wiem, jak to być może, ale tak jest. Jeden kilometr wywróciły samochody jadące z miasta, więc pozostało dwa.

W SEKRECIE.

— Mój szwagier, Rosenduft, w ciągu ostatnich dziesięciu lat zrobił ładny majątek.

— To on musiał robić chyba w sekrecie...

— Czemu?

— Bo ja ani razu nie słyszałem, żeby on siedział w kryminale.

Drukarnia „Fortuna“ — Kraków, ul. Lubicz 13.